

KIEDYŚ JESZCZE SIĘ ZOBACZYMY

Próbujemy pomagać pacjentom w odejściu. I dla nas to nie jest porażka, jeśli pacjent umrze. To nawet szczęście, gdy umrze spokojnie, bez bólu - mówią pielęgniarki z gorzowskiego Hospicjum św. Kamila

DARIUSZ BARAŃSKI

Do pracy w hospicjum często trafiają przez przypadek. Szczęśliwy przypadek. Bo potem zakochują się w tej służbie i nie wyobrażają sobie innego życia.

- Byłam w studium medycznym, to już 12 lat temu. Kiedyś przyszedł do nas ksiądz, który tam pracował i zaprosił nas do hospicjum. Przyszłam i już zostałam. A potem siostra Michaela zaproponowała, że bym była pielęgniarką. I tak już pracuję 10 lat - opowiada Urszula Wesołowska-Bączkowska.

Siostrę Ritę ze Zgromadzenia Sióstr Jezusa Miłosiernego praca w hospicjum skłoniła do porzucenia studiów teologicznych. - Miałam robić coś innego, byłam na studiach. Będąc w zakonie, podobnie jak inne siostry przychodziłam tu do pomocy. Tak się zakochałam w tej pracy, że poprosiłam, abym mogła pójść do szkoły pielęgniarstwa. Skończyłam ją w Ostrowie Wielkopolskim, ale przez całe 10 lat czekałam, aż wrócę do hospicjum - mówi.

Agnieszka Waraksa jest pracownikiem socjalnym. - Byłam na wychowawczym, siedziałam z synem w domu i - może to zabrzmiało brzydko - nie miałam nic innego do roboty. Ustąpiłam o hospicjum i zaczęłam jako wolontariuszka. To była decyzja, która ukierunkowała mnie na całe dalsze życie. A to, kim jestem teraz, zawdzięczam doktorowi Gwozdowskiemu, który kiedyś powiedział mi: byłabyś świetnym pracownikiem socjalnym. Nie miałam pojęcia, co to jest, ale zaufałam mu w ciemno. Skończyłam szkołę pracowników socjalnych, jestem na trzecim roku studiów. I nie wyobrażam sobie innej pracy - wspomina.

Puste łóżko, pusta szafka

Pielęgniarki podkreślają, że najważniejsze są pierwsze wolontariackie chwile w hospicjum. - Nie szliśmy do chorych pielęgnować ich, karmić. Przychodziło się, żeby umyć podłogi, zetrzeć kurze. Ale to był też taki czas kontaktu z chorymi, gdy wchodzi na salę ze szmatą i może zagadać, zapoznać się. To mnie najwięcej nauczyło. Wie-



- Praca w hospicjum nauczyła mnie cenić małe rzeczy - mówi pielęgniarka Urszula Wesołowska-Bączkowska

le rozmyślałam, jakie błędy ja wtedy popełniłam, czy coś zaniedbałam. Od tamtej pory stale towarzyszy mi świadomość, że nie mam czasu, żeby czegoś nie zrobić, żeby komuś nie pomóc. Bo tu ludzie odchodzą. Następnego dnia może ich po prostu nie być - mówi siostra Rita.

To najbardziej przejmujący obraz w hospicjum: puste, zasłane łóżko, pusta szafka, gdy rano przychodzi się do pracy. Nie można nikomu mówić, że coś się zrobi później, bo tego później już za chwilę może nie być.

Świadomość krótkiego czasu określa w hospicjum wszystko. Pacjenci nie mają czasu na kreślenie planów, a pracownicy, którzy są często dla nich jedynymi bliskimi osobami, wiedzą, że trzeba nie tylko być przy nich, ale pomóc pozalatawać wszystkie ważne sprawy. Od niedawna hospicjum ma własnego pracownika socjalnego. - To chyba najpiękniejszy zawód świata, daje możliwość takiej pomocy ludziom. Zajmuję się praktycznie wszystkimi codziennymi problemami pacjentów, od dowodów osobistych, ubezpieczenia, poszu-

kiwania dokumentów w instytucjach, po kontakty z rodziną. Pomagam, gdy pacjentka martwi się, że dzieci zostały w domu bez środków do życia, ale też wspieram rodzinę chorego, mówię im o przepisach o pomocy społecznej. Załatwienie tych wielu spraw daje pacjentom spokój. Czasem są to sprawy bardzo trudne, na przykład, gdy trzeba pomóc dzieciom pacjentki rozwiązać skomplikowaną sytuację mieszkaniową, a mąż jest za granicą, nieuchwytny. To wymaga współdziałania wielu osób, ale tak naprawdę liczy się tylko końcowy efekt: udało się, zdążyliśmy - mówi Agnieszka Waraksa.

W porównaniu z innymi pracownikami socjalnymi, mogłoby się wydawać, że ma sytuację komfortową. Jeśli statystycznie na jednego pracownika socjalnego przypada 2,2 tys. podopiecznych, to pani Agnieszka ma w hospicjum pod opieką zaledwie kilkunastu pacjentów i jeszcze ok. 80 w hospicjum domowym. - Ale ja jestem świadoma, że mam mniej czasu, że to, o czym mówi pacjent, jest dla

niego sprawą najważniejszą, i choćbym miała stanąć na głowie, muszę to załatwić - dodaje.

Radość z drobnych rzeczy

Pani Ula jeździ do chorych w ich domach. Niejedno widzi, niejedno daje jej do myślenia. Ludzie gonią za pieniędzmi, karierą, chcą mieć piękne domy i samochody. A w hospicjum nabiera się dystansu. Widzi się cierpiących ludzi.

- Podam leki, a pacjent mówi: siostrzko, ja pierwszy raz od miesiący spałem. I usmiechnie się. To jest cała radość, najlepsza zapłata. I my tu właśnie uczymy się doceniać proste sprawy, to, co się ma. Człowiek, jak człowiek, czasem narzeka. Ale myślę wtedy, że przecież mam zdrową rodzinę, sama mogę pomagać. Czasem widzi się bogactwo w tych domach, te dobra, które gromadzili i jednocześnie tego człowieka, który odchodzi i wszystko musi zostawić. Nauczyłam się cenić małe rzeczy - opowiada.

Potrzeby pacjentów hospicjum nie są wielkie. Nie odmawia im się niczego, a przede wszystkim obecności.

- Staramy się, żeby nikt nie umierał sam. Jeśli nie ma bliskich, to chcemy ich poznać choć na tyle, aby wiedzieć, czy ktoś pije kawę, czy słodzi, czy podać mu lampkę wina. Żeby wiedzieć, czego mogą pragnąć do końca, nawet jeśli już nie będą w stanie mówić - tłumaczy siostra Rita.

Życ godnie do końca

Tym właśnie różni się hospicjum od szpitala. I jeszcze tym, że szpital jest nastawiony na ratowanie życia, podtrzymywanie go za wszelką cenę. - A my pomagamy pacjentom w odchodzeniu. I dla nas to nie jest porażka, jeśli pacjent umrze. Czasem to nawet szczęście, można chyba też powiedzieć sukces, jeśli umrze przy mnie spokojnie, bez bólu - mówi pani Ula.

Dr Jacek Zajączek, od niedawna kierownik hospicjum, wcześniej ordynator intensywnej terapii w szpitalu gorzowskim: - Śmierć w szpitalu jest odrytualizowana, pozbawiona tego całego sacrum. Teraz i tak jest inaczej, bo przychodzi kapelan, udziela ostatniego namaszczenia. Ale często rodziny przy chorym nie ma, gdy śmierć przychodzi w nocy, bo regulujemy szpitalne mówią o odwiedzinach do 22. Chorzy w szpitalu jest osamotniony w swoim spotkaniu ze śmiercią, a już zupełnie w takiej zinstrumentalizowanej dziedzinie jak intensywna terapia.

Zanim przyszedł na stałe do hospicjum, wiele myślał o tym, że często był w szpitalu przedłuża cierpienie, a nie przedłuża życia. Gdy w szpitalu człowiek umiera, nie ma tego osobistego żalu, że już się go nie zobaczy. To prawie czynność zawodowa, biurokratyczna: stwierdzenie zgonu. Tu wytwarzają się więzi, jest naprawdę smutno. Kilka dni byłam na zjeździe poza Gorzowem. Przyjeżdżam w poniedziałek i dowiaduję się, że już nie porozmawiam sobie z panią Elą. Takich związków chyba nie daje uprawianie medycyny w szpitalu.

W dyżurce pielęgniarek widnieją napis: Pozwolimy ci nie tylko umrzeć, ale godnie żyć do końca. - My też kiedyś umrzemy. I czasem tak sobie myślę, że oni wszyscy spotkają nas po tamtej stronie. Te tysiące ludzi wydają na przeciw, aby się przywitać. Wierzę, że kiedyś wszyscy się spotkamy - mówi siostra Rita. ●